

Miara człowieczeństwa

Andrzej Brzozowski

Wbrew pozorom zrobienie filmu o Zagładzie to karkołomne zadanie. Bo jak pokazać okrucieństwo i ogrom zbrodni, a jednocześnie nie epatować widza drastycznymi scenami? Jak nie popaść w banał obrazu „zły Niemiec” – „dobry Żyd (Polak, Węgier itd.)”? Jak wreszcie pokazać jednostkę tam, gdzie nie ma miejsca na człowieczeństwo? Węgierski reżyser László Nemes odważnie podjął to wyzwanie. Przede wszystkim w warstwie formy, która znacząco wpływa na odbiór filmu.

Szawel (Saul) Ausländer (w tej roli Géza Röhrig) jest węgierskim Żydem. Jest więźniem KL Auschwitz, pracuje w Sonderkommando przy „obsłudze” transportów swoich pobratymców. Mó-

więc wprost – uczestniczy w ich gazowaniu, a później w uprzątaniu zwłok i segregacji pozostawionych ubrań. Jedną z pierwszych scen filmu jest właśnie mordowanie Żydów w komorze gazowej. Niezwykle wstrząsająca,

przytłaczającą grozą – tym bardziej że... w ogóle jej nie oglądamy. Zza stalowych drzwi „łaźni” słychać tylko cichnące powoli panikę i rozpacz. To bardziej działa na emocje niż najkrwawsze ujęcia. Większość filmu widz ogląda albo oczami Szawła, albo z bardzo blisko prowadzonej kamery. Często mamy wrażenie, że widzimy dokładnie to, co bohater – jakby kamera znajdowała się tuż za nim – lub po prostu patrzymy w jego twarz. Wszystko poza tym jest mało widoczne, rozmazane. Dlaczego tak? Wydaje się, że Saul po prostu nie chce widzieć zbyt dużo. Ma świadomość okropieństw, które dzieją się wokół niego, i próbuje się od nich odseparować, by nie popaść w szaleństwo. Poza tym stara się też nie podnosić wzorku, by nie sprowokować Niemca lub kapo do uderzenia.

Plan jest zatem wąski, klaustrofobiczny, wręcz czujemy ciasne, duszne przestrzenie fabryki śmierci: komory gazowej, baraku. Nawet sceny kręcone na zewnątrz nie dają oddechu – przestrzeń ograniczają nie tylko druty kolczaste, lecz także pałki kapo i wrzaski esesmanów.

Rzeczywistość obozu to nie-świat. Relacje między ludźmi wyglądają zupełnie inaczej niż w normalnym świecie. Mówi się innym językiem. Nie tylko w warstwie semantycznej, bo łączy tu obozowa nowomowa, lecz także etnicznej: słychać jidysz, węgierski, polski, nawet rosyjski, ale uniwersalnym językiem jest – paradoksalnie – zniechęcony niemiecki. Kapo tylko przekleństwa wtrącają rodzime – najczęściej polskie, bo polskich Żydów jest tu przecież najwięcej.

W tej absurdalnie okrutnej rzeczywistości Szawel próbuje zrobić coś, co nie należy do tego świata: chce ocalić zwłoki żydowskiego chłopca przed zbezczeszczeniem w krematoryjnym piecu fabryki śmierci. Chce zapewnić mu godny, religijny pochówek. Aby zrealizować swój cel, przechodzi przez wszystkie części

KL Auschwitz: łaźnię-komorę gazową, prosekatorium, w którym przeprowadza się sekcje zwłok, brzeg rzeki, gdzie więźniowie wrzucają prochy spalonych ludzi, doły śmierci... Niczym Dante odwiedza kolejne kręgi piekła, co jeden to straszniejszy. Nie zwraca już uwagi na żywych, ich cele i dążenia – akcja dzieje się w przededniu buntu, który wybuchł w obozie w październiku 1944 roku, ale dla Szawła wszystko to odbywa się gdzieś w tle. Jeden z więźniów rzuca mu to nawet w twarz: „Zdradziłeś żywych dla zmarłego”.



Fot. Gutek Film

Poszukiwanie choć odrobiny normalności w nienormalnych warunkach to częsty topos literacki lub filmowy. Świat przedstawiony przez reżysera jest jednak tak nieludzki, tak odrealniony, że nie wiadomo już, które z zachowań, dążeń są bardziej ludzkie: więźniów dopasowujących się do brutalnych i nonsensownych reguł życia obozowego, po to by przeżyć kolejny dzień, kolejną godzinę? A może działania Szawła, kurczowo trzymającego się tej resztki człowieczeństwa, która w nim się jeszcze zachowała mimo pobytu w obozie koncentracyjnym i uczestnictwa w machinie zagłady, obudziła się pod wpływem impulsu. Tylko czy to właśnie ta resztką nie okazuje się destrukcyjna? Nie tylko autodestrukcyjna, bo Szawel liczy się z losem współwięźniów o tyle, o ile może to przynieść jakąś korzyść w jego przedsięwzięciu. Przedsięwzięciu, którego sensowność wydawać się może mocno dyskusyjna.

Patrząc okiem historyka, należy przyznać, że ekipa sumiennie odrobiła lekcję i przekonująco oddała realia obozu koncentracyjnego. Tu nie ma momentu na oddech – więźniowie wciąż są pod presją, ciągle grozi im śmierć – w najlepszym przypadku cios pałki kapo, kopniak esesmańskiego buta, a jak będą mieli wyjątkowe szczęście, to „zaledwie” obelgi lub poniżenie. Tu nie ma czasu na wahanie, trzeba zachować refleks, by w odpowiednim momencie zdjąć czapkę przed Niemcem, trzeba być spostrzegawczym, by uniknąć zagrożenia, a jednocześnie mieć wzrok wbity w ziemię.

Z filmu widzowie wychodzą z samymi pytaniami, choć obserwując opuszczających kino, miałem wrażenie, że boją się je zadać. Bo odpowiedzi na dylematy moralne, których byli świadkami, na kwestie istoty i miary człowieczeństwa, wreszcie na hierarchię wartości, która w obliczu przemysłu śmierci okazuje się niezwykle kruchą konstrukcją – po prostu w tym filmie nie da się znaleźć. I takie chyba było zamierzenie autora – pokazać, jak destrukcyjny wpływ na człowieka mają oglądane okrucieństwa, jak destrukcyjny wpływ na wszelką hierarchię wartości ma uczestnictwo w podszytym chorą ideologią korowodzie zbrodni, w szaleńczym misterium śmierci. Scena przy gigantycznych stosach, na których palono zwłoki, i nagi tłum czekający na swoją kolej przypominają jakieś obłąkane bachanalia *à rebours*... Uratowanie w tej sytuacji choćby odrobiny z tego, co czyni z nas ludzi, wydaje się niewykonalne i irracjonalne. Ale zawsze warto podjąć wysiłek – to właśnie jest miarą człowieczeństwa. 🍷

Andrzej Brzozowski
– historyk, redaktor naczelny
miesięcznika „Pamięć.pl”

